

The image features an abstract graphic design on a light cream background. It consists of several vertical bars of varying heights and colors, including teal, red, and black. These bars are layered and overlap each other. At the bottom of the image, there is a complex, interlocking pattern of horizontal and vertical lines in the same color palette, creating a maze-like or architectural structure. The overall style is modern and minimalist.

SEQOJA

JOANNA OLCZAK

ULOTNE

JOANNA OLCZAK

ULOTNE

SEQUOIA

OLSZTYN 2021

Redakcja
EWA KLIMEK

Korekta
ANNA WITKOWSKA

Projekt okładki i skład
WŁODZIMIERZ CHOŁOSTIAKOW

Druk i oprawa
PRINT GROUP SZCZECIN

COPYRIGHT © BY JOANNA OLCZAK 2021
COPYRIGHT © FOR THIS EDITION BY WYDAWNICTWO SEQOJA, 2021

ISBN 978-83-958610-3-1

wydawnictwo SEQOJA
Żołnierska 11 B/20, 10-558 Olsztyn
tel. 534 834 852
e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl
www.seqojawydawnictwo.pl

OLSZTYN 2021
WYDANIE I

SPIS TREŚCI

SUKIENKA W BIAŁE GROCHY	5
BUKIECIK KONWALII	26
ZJAZD PŁCI PIĘKNEJ	34
TAMTO LATO. TOMEK	61
SKRZYDLATY	70
NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK	84
KIEDYŚ BYŁ TU PIĘKNY MOST	101
KOTY NA WIERZBIE	120
ZABAWA W CHOWANEGO	139
PANI KLIK ZROBI PSTRYK	147

SUKIENKA W BIAŁE GROCHY

*Inni przodkowie
mogli być przecież moimi,
a już z innego gniazda
wyfrunęłabym*

Wisława Szymborska

Najważniejsze są stopy, żeby było ciepło. I słodki smak na języku. Jak jest ciepło w stopy, to ciepło rozlewa się, pełźnie po łydce, do kolana i dalej w górę, do brzucha. I słodkie. Też się rozlewa, robi się miękko, dobrze. Świeci słońce. Czy teraz jest lato? Lato jest wtedy, kiedy jest ciepło i słodko... Czy coś takiego... Muszę się ubrać. Gdzie jest moja sukienka? Przecież nie mogę tak pójść. Kto mnie ubrał w te szmaty? Mama? Mamooo!

Była taka malutka. Pomarszczona jak suszona śliweczka. Pojedyncze pasma siwych włosów opadały jej na ramiona, wiły się beładnie jak młode węże.

— Chcę sukienkę — powiedziała.

— Słucham?

— Sukienkę!

— Jaką znowu sukienkę?

— Tę czerwoną, w białe grochy.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie było żadnej czerwonej sukienki w grochy. Tylko szpitalna koszula nocna, która

wyglądała jak stara mapa. Plamy w różnych kolorach, te od cukierków czekoladowych i te od zupy pomidorowej, i te od herbaty, układały się w nowe kontynenty. Tworzyły mapę nieznanego świata.

— Chcę sukienkę. Tę w grochy. — Popatrzyła na mnie hardo. — Co tak stoisz? Chcę założyć sukienkę. Nie słyszysz?

— Jest zima. Za zimno, żeby chodzić w sukience.

Poczułam znajome napięcie. Cały wysiłek włożyłam w to, żeby ton mojego głosu był łagodny i miękki. Jej oczy były zimne. Nie ustępowała.

— Kłamiesz. Kłamczucha.

Głos babci stawał się coraz bardziej napastliwy. Milczałam.

Przez okno widać było, że śnieg pada coraz intensywniej. Na parapecie białe płatki utworzyły już sporą puchatą poduszkę. Poczułam, że jestem zamknięta w szpitalnej sali jak w pułapce.

— Przyniesź zaraz.

Co miałam powiedzieć?

— Teraz. Teraz.

Patrzyłam na nią.

— Babciu... Proszę...

— Wszystko powiem mamie. — Nagle jej głos stał się płaczliwy jak u dziecka. — Powiem, że jesteś dla mnie niedobra — chlipnęła cicho. — Powiem, że nie chcesz przynieść mi mojej sukienki.

Mała dziewczynka w niej zacisnęła usta. Podbródek lekko drżał.

— Babciu...

— Kłamiesz. Kłamiesz. Głupia!

Teraz znowu była naprawdę wściekła. Oczy jej płonęły. Niespodziewanie odwróciła się w stronę okna. Zastygła. Patrzyłam na jej drobne plecy. Przypomniało mi się, jak pierw-

szy raz uciekła. Była noc. Obudził mnie hałas. Dopiero gdy już przestała z nami mieszkać, zorientowałam się, jak bardzo czujny stał się mój sen. Nie sen nawet. Stan, w którym jakaś część mojego mózgu pozostawała zawsze bezsenna, zawsze czujna jak indiański wojownik w lesie.

Ten pierwszy raz... To było w nocy. Najpierw jakiś dźwięk. Obudziłam się. Wstałam. Kiedy wyszłam na korytarz, poczułam na bosych stopach podmuch chłodnego powietrza. Okno w jej pokoju było otwarte. Do parapetu przystawiła sobie krzesło. Na szczęście mieszkaliśmy na parterze. Obudziłam męża i wyszliśmy jej szukać. Nie trwało to długo. Kucąca za kontenerem na śmieci. Głowę przykryła starą gazetą, jakby chcąc się lepiej ukryć. Mój mąż podszedł do niej powoli, ostrożnie, jak do dzikiego zwierzęcia, którego nie chce się spłoszyć. Zerwała się, podbiegła do najbliższej ściany i zawołała: „Zaklepuję! Raz, dwa, trzy! Szukasz ty!”. I roześmiała się, szczęśliwa.

Drugi raz uciekła w ciągu dnia. Robiłam obiad i nic nie usłyszałam. Indiański wojownik odsypiał noc. Przyprowadziła ją sąsiadka, niewiele młodsza od niej. Patrzyła na mnie z wyrzutem. Babcia na głowie miała czapkę mojej pięcioletniej córki, na bosych nogach kalosze.

Trzeciego razu już nie pamiętam. Kolejne ucieczki zły mi się w jedną. Szczegóły się wymieszały. Latem uciekała w starym kozuchu dziadka? Czy to wtedy motorniczy zadzwonił na policję, widząc, że starsza pani jeździ już trzecią rundkę, od krańcówki do krańcówki? A może to było zimą? Wtedy, kiedy do walizki zapakowała zabawki Lenki i stare gazety? Mimo że indiański wojownik w mojej głowie czuwał i prawie wcale już nie sypiał, nie był w stanie jej upilnować. Stawała się coraz sprytniejsza, szybsza, zwinniejsza, jakby każda kolejna ucieczka była jedynie przygotowaniem, treningiem przed następną, bardziej skuteczną, perfekcyjną. Ostateczną.

Trening czyni mistrza, więc wskakiwała na parapet jak młoda dziewczyna, otwierała bezszelestnie drzwi, bezdźwięcznie przekręcała klamkę okna, niewinnym tonem oznajmiała, że idzie do toalety. Wojownik był bezradny. Coraz częściej nie patrzył mi w oczy. W domu babcia cały czas była niespokojna. Nie mogła usiedzieć w jednym miejscu, nawet przed telewizorem. Nerwowo przebierała palcami.

Witki muszą być lekko wilgotne, ale nie za bardzo. Trzeba uzyskać elastyczność, mówił. A potem otaczał moje dłonie swoimi twardymi palcami. Najpierw witki składa się na krzyż, potem... Pachniał brzydko, potem, twardością, bardzo ładnie. Czuję bicie jego serca. Splot wychodził krzywo.

— Sprzedałaś mój koszyk?

— Słucham?

— Oddaj mi pieniądze za mój koszyk.

— Babciu, chodź, pójdziemy się położyć.

— Zostaw mnie. Muszę wracać — powtarzała ciągle.

— Dokąd?

— Do domu. Do domu. Mam pieniądze. Zapłacę ci.

— Nie trzeba. Jesteśmy w domu, babciu.

— Nie. Nie. — Rozglądała się, jakby znalazła się nagle w obcym miejscu.

— Tu jest twój pokój. Twoje łóżko. Twój ulubiony sweter, poznajesz?

— Nie. Nie. — Kręciła głową. — Muszę do domu. Obiecałam tacie, że dokończę dzisiaj.

— Co dokończysz?

— Koszyk.

— Babciu, proszę. Zrobię ci herbatę, z cytryną i miodem. Taką, jaką lubisz.

— Nie, nie, bardzo pani jest uprzejma, ale nie... Nie...

Nie mam czasu. Muszę już iść. Muszę iść. Tata na mnie czeka. Bardzo pani uprzejma. Dziękuję. Dziękuję.

Ta obsesja powtarzania wszystkiego po dwa razy doprowadzała mnie do szału. Nie, nie. Dziękuję, dziękuję. Bardzo pani uprzejma, bardzo pani uprzejma. Jakby potrzebowała dwóch bliźniaczych słów albo zdań, żeby utrzymać równowagę, tak jak potrzebuje się do tego dwóch nóg.

— Masz już moją sukienkę?

Ostry ton przywrócił mnie do rzeczywistości. Nagle odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy, jednym z tych spojrzeń, które przewiercają nas na wylot i przybijają szpikulcem do przeciwległej ściany. Nie dawała za wygraną. Zawsze taka była, nawet kiedy była jeszcze sobą.

— Co? Nie umiesz mówić? Zapomniałaś?

— Przyniosę. — Podałam się. — Zaraz przyniosę.

Ale to jej nie uspokoiło. Ciągle była wkurzona. Bardzo. Przebierała palcami po kołdrze, jej palce poruszały się sprawnie i szybko.

— To co tak stoisz? Dlaczego nie idziesz?

— Idę.

— Ruszaj się. Szybciej. Hans na mnie czeka.

— Kto? Jaki Hans? — Traciłam grunt pod nogami.

— To nie twoja sprawa.

— Babciu... Proszę! — Głęboki wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

— Komm! Komm! Schnell! Schnell!

Miałam dość. Czułam, że jeszcze chwila, a pęknię jak dojrzały owoc i wyleje się ze mnie lepki sok, maź, której nie będzie można zmyć. Musiałam wyjść. Schnell! Schnell! Przyzwyczajiliśmy się już do niemieckich słów. Pielęgniarki też.

Pałac papierosa na korytarzu, nie mogłam przestać myśleć o tej sukience. Nigdy o nic się tak nie upominała, nie z takim uporem. Co to za sukienka? Musiała być dla niej szczególnie

ważna. Czerwona sukienka? W białe grochy? Pewnie taka staroświecka, lekko rozkloszowana, może z białym kołnierzykiem? I nagle przypomniałam sobie jedno ze starych zdjęć, które kiedyś, ścieląc łóżko babci, znalazłam pod poduszką. Mała dziewczynka stoi w sadzie, wśród karłowatych drzew. Ma na sobie sukienkę. Szarą, bo na starych zdjęciach wszystko jest szare. Kontrast białego z czarnym zatarł się z czasem, więc może grochy wypłowały i spadły z fałd sukienki jak jesienne liście z drzew.

Dziewczynka ma starannie uczesane włosy, w mały koczek wpięta jest nieproporcjonalnie wielka kokarda. Dookoła niej sześciu starszych chłopców. Wszyscy są rozbrykani. Nie zadržując fotografowi, który ustawiał ich do zdjęcia. Jeden z chłopaków robi coś za plecami dziewczynki. Dziewczynka odwraca się. Wtedy zniecierpliwiony fotograf nacisnął migawkę. Może miał już dość ustawiania i strofowania niesfornej gromadki. Może w kolejce czekali inni, tak samo ubrani w niedzielnie wyprasowane i wykrochmalone ubrania, uczesani na brylantynę, w wyglancowanych butach. Dziewczynka uchwycona jest w półobrocie. Śmieje się. Wygląda na szczęśliwą. Królowa wśród sześciu królewiczów. Królewicze wydają się czuć bardzo dobrze w jej towarzystwie. Są beztroscy, gotowi do żartów, pełni pomysłów.

Ci radośni chłopcy to bracia babci. Sześciu młodych byczków. Wszyscy zaginęli na wojnie. Po żadnym nie został nawet ślad. Czy walczyli w polskiej, czy w niemieckiej armii? Czy zginęli za polską czy za niemiecką ojczyznę? Babcia nigdy o tym nie mówiła. Jej wspomnienia o braciach ograniczały się do czasu ich wspólnego dzieciństwa. Potem jakby zgasło światło. Ciemność. Drzwi zostały zamknięte. Nie wiadomo nawet gdzie są pochowani. Nie wiadomo gdzie zapalić za nich świeczki.

W ogóle nie wiedziałam zbyt wiele. Schmiedel to z pew-